

O siemnastowieczna Wenecja z całą bogatą galerią szlachty i mieszczan, niebieskich

ptaków i podupadłych arystokratów, salonowych „precieuse” i obdarzonych urokiem awanturnic — znalazła swe odbicie w komediopisarskiej twórczości autora „Mirandoliny”.

Carlo Goldoni miał łatwe pióro. Z górą 250 sztuk, z tego 16 napisanych w ciągu jednego sezonu — to do robek niebagatelny, nawet jeśli się go zestawia z twórczością Lope de Vegi, swego rodzaju „rekordzisty” w ilości napisanych sztuk.

Ilość jednak nie zawsze bywa wykładnikiem jakości. Również i w przypadku Goldoniego nieliczne tylko sztuki przetrwały próbę czasu, wchodząc na stałe do światowego, teatralnego repertuaru. Do nich — obok „Ślu gi dwóch panów”, „Gburów” i kilku innych — należy „Oberżystka” („La locandiera”), wystawiana najczęściej jako „Mirandolina”.

Przyznam się, że nie jestem entuzjastą „Mirandoliny”. Uważam za dość nużącą czynność śledzenie tych kostiumowych obrazków

Nasza recenzja

»MIRANDOLINA«

„z epoki”, wysłuchiwanie mało nas w gruncie rzeczy obchodzących dialogów, lekkość, wdzięk, błyskotliwość? Wydaje mi się, że zbyt często nadużywamy tych określeń — pokrywających nie raz mialkość i pustkę — lub wręcz nudę, obrosłą w czcigodną tradycję.

„Mirandolina” opiera się na tytułowej roli. Kreująca tę rolę aktorka może rozegrać ją na kilku planach, stosując wobec każdego z adorujących ją mężczyzn inną taktykę, inny ton — może też pozostać sobą pełną uroku i siły uwodzicielskiej kobietką, z lekką tylko cieniującą swój sposób bycia wobec każdego z konkurentów.

Zresztą mniejsza o gierki. Aby spektakl się udał rola „Mirandoliny” opierać się musi na mocnym, świadomym aktorstwie, wspoma-

ganym oczywiście tzw. warunkami wykonawczymi. Wiele do powiedzenia ma tu również reżyser. Uodwodnienie, że „das ewig weibliche” zawsze zwycięża mężczyzn, że „...ech, te kobiećki, jak tylko chcą każdego owina dookoła palca” —

T. Rafałowski

to trochę zbyt mało, jak na usprawiedliwienie wzięcia sztuki na afisz. Chyba, że reżyserowi chodzi jedynie o pokazanie „aktorstwa w stanie czystym” na przykładzie galerii charakterystycznych typów.

W „Mirandolinie” jest szansa na dobrą zabawę. Piękna oberżystka uzbrojona w kokieterię współczesnej kobiety, a więc kokieterię połączoną z autoironią,

a jednocześnie podrzywająca z naiwnych mężczyzn, którzy dają się brać na tak niewybredne „sposoby” — czy nie jest to postać, która może nas bardziej zainteresować, niż skopiowana z wielekrotnie powielanych wzorów, poprawna Mirandolina?

A taką niestety na premierowym spektaklu Teatru Ziemi Gdańskiej była Anna Kulawińska, zdolna skądinąd aktorka (pamiętamy jej Podstolinę w „Zemście”). Mimo niektórych scen dobrze odegranych (uwodzenie kawalera di Ripafratta) nie potrafiła zróżnicować roli, finezyjnie jej wycieniować, zagrała zbyttnio na jednym tonie. Wina za ten niedostatek spada w równym stopniu na reżysera, Janinę Orsza - Łukasiewicza. Jest i zarzut pod adresem scenografa, Danuty Pogorzelskiej.

Jak można było przybrać Mirandolinę w równie fatalne nakrycie głowy i kusy, niegustowny kostium?

Pozostali wykonawcy dali różnorodną tzw. galerię typów. A więc dobry jako kawaler di Ripafratta Juliusz Przybylski, trafnie pokazujący przemianę mizogyna w zakochanego, zabawny Markiz di Forlipopoli Jerzego Witowskiego, Juliusz Gawroński jako hrabia „z gestem”, Maria Chodacka jako aktorka przedzierzgająca się umiejętnie w rolę arystokratki i Maria Wawszczyk jako Dejanira, wreszcie obdarzony dużym wdziękiem scenicznym Waldemar Starczyński w roli Fabrycjusza i Stefan Kałol jako służący.

Reżyserii Janiny Orsza - Łukasiewicza, w zasadzie po prawnej od strony rozwiązań sytuacyjnych i utrzymania tempa, miałbym do zarzucenia jedynie pewne przeciągnięcie spektaklu w czasie. Scenografia Danuty Pogorzelskiej stanowiła „pendant” koncepcji reżyserkiej: nie wyszła poza przeciętną poprawność. Autorem dobrego opracowania muzycznego spektaklu był Stanisław Żelechowski.